

**Z 3. ŁÓDZKĄ DRUŻYNĄ HARCERZY  
IM. R.TRAUGUTTA  
PRZY  
I GIMNAZJUM I LICEUM IM. M.KOPERNIKA  
W ŁODZI  
W LATACH 1945 – 1948**

**- WSPOMNIENIA ZASTĘPOWEGO -**

Lata w harcerstwie, po wstąpieniu do reaktywowanej 3 Łódzkiej Drużyny Harcerskiej przy I Gimnazjum i Liceum im. M.Kopernika, zaliczam do najpiękniejszych w mojej młodości. Drużynę zorganizował Zdzisław Wojciechowski – harcerz przedwojennej drużyny, po powrocie z Niemiec, w marcu 1945 roku<sup>1</sup>.

Przed wojną krótko należałem do zuchów przy 23 Drużynie Harcerskiej im. L. Lisa-Kuli, w szkole A.Zimowskiego w Łodzi.

W 1945 roku, rozkazem z dnia 17 maja, otrzymałem przydział do 3 ŁDH.

Harcerstwo tego okresu było ewidentnym przykładem odradzania się moralnych wartości i szlachetnych postaw wśród młodzieży. Jej dążeniem było też osiągnięcie umiejętności radzenia sobie w każdych warunkach, posiadanie niezbędnej wiedzy, zaradności i sprawności fizycznej, świadczenie dobrych uczynków i niesienie pomocy innym. Taką wiedzę i umiejętności przekazywali nam starsi stopniem i pełnią funkcją instruktorzy. W teorii i praktyce, na każdej zbiórce, wycieczce i ćwiczeniach. Od tej starszyny przyjmowaliśmy ich poglądy, oceny rzeczywistości, piosenki z konspiracji i Powstania Warszawskiego.

Instruktorzy harcerscy wywodzili się przeważnie z harcerstwa przedwojennego i czasu wojny, z Armii Krajowej i tych, którzy powrócili z Niemiec.

Nasza radość i zapał, wynikający z faktu należenia do harcerstwa, objawiał się m.in.

w ochoczym i czynnym udziale w zbiórkach i zajęciach drużyny i zastępu, w imprezach Komendy Hufca i Chorągwi; uwidaczniał się w uroczystych przemarszach podczas świąt i na nabożeństwa do katedry. Nieraz było nas tak wielu, że zajmowaliśmy plac wokół kościoła, a niekiedy również odcinek ulicy Piotrkowskiej, uniemożliwiając przejazd tramwajom i pojazdom. I powroty drużynami, w wojskowym szyku, w rytmie werbli, przy trąbce sygnałowej, ze śpiewem i częstym marszem „na baczność”. Podobnie, wieczorne capstrzyki, czasem z pochodniami, ulicą Piotrkowską i ogarniający nas jakiś zbiorowy trans, udzielający się również przechodniom, zatrzymującym się przy krawężniku chodnika, ich radość i brawa i ... zdjęte przez mężczyzn nakrycia głów przed sztandarem drużyny. /Kto dziś oddaje taki szacunek godłu Państwa i sztandarom wojska?/

Niestety, aplauz i społeczne uznanie okazywane harcerstwu nie mogło być podobnie odbierane przez ówczesne władze.

W 1946 roku wymianie uległy książeczki harcerskie na lepiej opracowane, ale ze zmienionym przyrzeczeniem harcerskim.

Warunki, w jakich organizowane były obozy, sprawy wyżywienia ich uczestników czy ewentualna inna pomoc, nie leżały w sferze zainteresowań władz oświatowych. Skończyły się przemarsze ulicami i wieczorne pochody. W niedziele, zbiórki zastępów odbywały się po rannym nabożeństwie, przed kościołem o.o. Jezuitów. Tu decydowaliśmy o wycieczkach i zajęciach terenowych.

Z założonego w 1945 roku mojego „Notatnika harcerza” można zorientować się jakie harcerz powinien posiadać podstawowe wiadomości i umiejętności praktyczne.

Pierwsza grupa tematyczna dotyczyła „wiedzy ogólnej” – prawa harcerskiego i jego codziennego stosowania, historii skautingu i ZHP, znajomości życiorysów Baden-Powella, A.Małkowskiego i patrona drużyny, organizacji harcerstwa w Polsce, stopni, funkcji, elementów umundurowania itp.

Kolejna grupa to wiadomości z „samarytanki” – objawy chorobowe i urazy, jakie najczęściej mogą się przydarzyć harcerzowi, podstawowe umiejętności ich rozpoznawania, wiedza i sprawność udzielania pierwszej pomocy oraz wiadomości o higienie osobistej i obozowej, o lekach i ziołach.

---

<sup>1</sup> Zdzisław Wojciechowski był drużynowym 3 ŁDH do połowy 1947 roku. W tym okresie komendantem Chorągwi Łódzkiej ZHP był Mieczysław Łętowski /zmarł w 1951r. Pochowany na Starym Cmentarzu kw. 1-d/, a hufcowym Hufca Łódź-Zachód, któremu podlegała drużyna, Antoni Zajac. Kapelanem wojska i harcerstwa był ks. płk Władysław Ławrynowicz.

„Terenoznawstwo” obejmowało informacje o znakach patrolowych i topograficznych, o czytaniu i umiejętności posługiwania się mapą, korzystania z busoli, sporządzaniu szkiców terenowych, o tropach zwierząt, konstelacjach gwiazd i rodzajach chmur.

„Sygnalizacja” – to opisy podawania sygnałów gwizdkiem i ręką, alfabet Morséa i Semafoła, /wymagano umiejętności nadawania i co było trudniejsze przy sygnałach Semafoła – odbioru/, informacje o środkach łączności.

„Notatnik” zamykały teksty piosenek oraz „uwagi i wskazówki metodyczne dla zastępowego” obejmujące tytuły podręczników harcerskich, wiadomości o organizacji kursu dla zastępowych, zasady planowania pracy, organizację zbiórek, prowadzenie gawęd, wycieczek i biegów harcerskich oraz informacje o ekwipunku harcerskim i rodzajach prac obozowych. Pod hasłem „inne” miałem dodatkowo przepisy „kuchenne”, ze śmiesznym wyliczeniem potrzebnych składników pod przewidywane apetyty zastępu.

Z wiosną i poprawą pogody, całością drużyny, a czasem w nieformalnym składzie zastępu – kolegów, organizowano niedzielne wycieczki do podłódzkich lasów. Jedną z pierwszych - do Lućmierza, wspominam szczególnie. Przedzierając się przez gęste poszycie lasu, w ucieczce przed „pogonią”, wypłoszyłem ogromnego dzika.

Każda wycieczka to marsz i śpiew, bieg według spotykanych znaków, wykonywanie poleceń zawartych w odnajdywanych listach, marsze na kierunek i bieg na orientację, a na miejscu – gry terenowe.

Po takich zajęciach, mimo wypoczynku, w powrotnej drodze nogi często odmawiały posłuszeństwa.

Zdobyta wiedza i umiejętności praktyczne pozwoliły na przystąpienie do biegu na I stopień harcerski „młodzika”. Bieg odbyliśmy w dniu 21 czerwca 1945 roku na trasie i w lesie łagiewnickim.

Na początku miesiąca lipca utworzono zastępy, a niektórym z nas powierzono funkcję zastępowego.

W dniu 15 lipca 1945 roku kilkuosobowa delegacja naszej drużyny bierze udział w zlocie na polach Grunwaldu, w rocznicę bitwy.

3 ŁDH coraz lepiej prezentuje się pod względem liczebności, umundurowania, zgrania w musztrze i w śpiewie.

Szczytem elegancji było posiadanie właściwego munduru i pasa, czarnych skarpet i butów z cholewką, a nade wszystko – wojskowego tornistra „cielaka”, dobrego koca i niemieckiej celty /trójkąta z impregnowanej tkaniny, o maskującej kolorystyce, mającej zastosowanie jako peleryna i namiot bądź jego część/, które odpowiednio zrolowane świadczyły o pozycji harcerza.

Od 1 do 23 sierpnia 1945 roku jesteśmy na pierwszym obozie harcerskim. Obóz zorganizowała nasza drużyna wspólnie z drużyną przy Szkole Handlowej w Łodzi. Zlokalizowano go w Różycy, koło Koluszek, w lasku, pod namiotami. Znajdujący się obok budynek pozwolił na zwiększenie liczby uczestników obozu o kolonię dla młodszych harcerzy z drużyn naszego Hufca Łódź-Zachód<sup>2</sup>.

---

<sup>2</sup> Komendantem obozu był hufcowy Hufca ZHP Łódź-Zachód – Antoni Zajac, a podoboju 3 ŁDH – Zdzisław Wojciechowski – drużynowy. Nasza drużyna zajmowała 3 namioty, w obozowej strukturze zastępów. Zastęp „Mohikanów” /później „Żubrów”/ wchodził w skład zastępu, którego zastępowym był Zbigniew Chyliński.

Ze składu zastępu „Mohikanów” na obozie byli: Henryk Kopczyński – „Baryła”, Jerzy Rachowski - „Klara”, Kazimierz Sikorski – „Sikora”, Henryk Skinder – „Niunius”, Jerzy Zemełko – „Florek”, Jerzy Idczak - „Mebel”, Jerzy Kunce i Janusz Pluta.

Z tego obozu zachowałem w pamięci kilka zdarzeń.

Nocny alarm i marsz po omacku przez las, kilkudniową, dobrowolną służbę przy obozowej kuchni – obieranie ziemniaków, gotowanie w kotle potraw, przeważnie jednodaniowych, pilnowanie ognia i kaszy, grochu czy innych produktów żeby się nie przypaliły, uniki przed dymem, by nie drażnił oczu, a po obiedzie dokładne mycie kotła i obozowych naczyń – wszystko po to by uzyskać sprawność „kucharza”.

Zdobycie pierwszej sprawności – „trzech piór” również miało swój dramat. Po zostawieniu, przez rozprowadzającego, każdego z nas w żakowickim lesie, po wyszukaniu pod chojakiem miejsca na łożo uznałem, że na kolację warto podjąć jagód. Zbierając je z nosem przy ziemi wkrótce się zagubiłem i sporo upłynęło czasu zanim trafiłem na swój koc i chlebak.

W nocy pobliskie strzały skłoniły mnie do jeszcze większego zbratania się z podłożem.,

Na obozie mieliśmy niedostatek żywności, a jej pozyskiwanie zależne było od skromnych funduszy drużyny i naszych zabiegów. Dostępne produkty kupowaliśmy u rolników, po chleb chodziliśmy do piekarni w Koluszkach, zbieraliśmy runo leśne. Z tej konieczności zrodziła się okazja do zdobycia trzeciej na tym obozie sprawności – „grzybiarza”. Była też chwila zwodnicza radości - otrzymaliśmy „urzędowy” przydział jaj. Niestety, wszystkie okazały się niejadalne.

12 sierpnia był dniem uroczystym. Wobec pocztu sztandarowego, na ręce hufcowego druha Antoniego Zajęca, składamy przyrzeczenie harcerskie.

Z początkiem 1946 roku przygotowujemy się do kolejnego obozu. W zastępie zbieramy konserwy: „krwawą kobasicę”, „horst meat”, rzadziej znajdujące się w naszych domach skondensowane mleko, pochodzące z darów UNRRA.

Przed Świętami Wielkanocnymi rozprowadzamy karty świąteczne opatrzone stemplem: „Dochód przeznaczony na obóz letni 3 Łódzkiej Drużyny Harcerskiej”.

Pamiętny był wyjazd delegacji 3 ŁDH, w ugrupowaniu Komendy Chorągwi, na I Ogólnopolski Zlot w dniach od 12 do 14 kwietnia 1946 roku w Szczecinie pod hasłem „Trzymamy straż nad Odrą”.

Podróż odbywała się koleją, w wagonach towarowych. Po zimnej nocy, mijamy jednostajny krajobraz lasów i bezkresnych płaszczyzn gołych pól. Z drzwi wagonu widoczne cmentarzysko czołgów z różnych frontów wojny. Przed Szczecinem jedziemy wolno po uginających się pod ciężarem pociągu, uszkodzonych, dużych mostach. Serdeczne powitanie na dworcu i marsz przez ruiny do wyznaczonej kwatery w szkole przy ul. Królowej Jadwigi. Tam nas lokują i częstują posiłkiem. Na krótkiej odprawie informują nas o programie Zlotu. Wolny do popołudnia czas przeznaczamy na poznanie, zniszczonego działaniami wojennymi, miasta. Spotykamy harcerzy z innych regionów kraju. Wymieniamy pozdrowienia, podejmujemy rozmowy jak dobrzy znajomi; panuje serdeczny nastrój. Nie kryjemy zdziwienia wobec licznej grupy dziewcząt z Czechosłowacji. Mówią, że przyjechały pomagać przy odbudowie portu. Podobno umożliwiamy Czechom dostęp do morza – będą mieli własne nadbrzeże portowe. /Jaka piękna idea!/

Wieczorem zbieramy się na Placu Zwycięstwa. Stoimy w zwartych szeregach czekając na rozpoczęcie uroczystości. W tym czasie na placu zatrzymuje się samochód, z którego ktoś do nas przemawia. Okazuje się, że to Stanisław Mikołajczyk. Stoimy za daleko, żeby usłyszeć co mówi, ale widać entuzjazm wśród tych, którzy go otaczają. Najbliżsi podnoszą go do góry i wiwatują. Udziela się to wszystkim.

Potem apel poległych – długi, zbyt długi po uciążliwych przedpołudniowych spacerach i późniejszym marszu, bez posiłku. W czasie apelu, gdy wszyscy stoją na baczność, czytana jest lista poległych i warczą werble – ja siadam na ziemi. Co za wstyd. Byłem bliski zemdlenia.

Tego samego wieczora idziemy na Wały Chrobrego żeby wysłuchać przemówienia przedstawiciela Rządu. Zapalamy symboliczne ogniska. Na zakończenie otrzymujemy karty wyżywieniowe do restauracji, której do północy bezskutecznie szukamy.

Niedziela. Po upragnionym posiłku idziemy na mszę polową i defiladę.

Przed trybuną konsternacja – stoimy i czekamy nie wiedząc dlaczego. Defiladę wszyscy już zakończyli. Dowiadujemy się, że przedstawiciele Rządu opuścili trybunę. Nasz przemarsz, przy dźwiękach orkiestry harcerskiej i werbli przyjął Naczelnik ZHP – druh Janusz Wierusz-Kowalski. /Na pamiątkę tego wydarzenia, na poniemieckiej pocztówce z widokiem Szczecina, uzyskałem jego autograf, który przechowuję w „Kronice zastępu”./

Na jednej ze zbiórek drużyny spotyka nas nieoczekiwana radość – prezentowany jest sztandar mający być naszym. Dowiadujemy się, że wykonany został przez polskie więźniarki w Niemczech, po wyzwoleniu przez aliantów, dla utworzonej tam, jak pamiętam – w Ludwigsburgu, męskiej 3 ŁDH.

Wzruszająca była uroczystość przekazania nam tego sztandaru. Jest piękny: awers – na adamaszkowej tkaninie koloru czerwonego, wyhaftowany barwnymi nićmi i koralikami wizerunek Matki Boskiej Ostrobramskiej, na rewersie - na biało-kremowym tle w szarej tonacji krzyż harcerski, z napisem u góry: 3 Łódzka Drużyna Harcerska im. R.Traugutta w Łodzi. Obszty frędzlami.

Sztandar był prymitywnie przymocowany do surowego drzewca, zakończony orłem w koronie, wykonanym z grubej aluminiowej blachy.

W wyniku nakazu ujednoczenia głowic wszystkich sztandarów harcerskich, naszą głowicę zastąpiono produkowaną wówczas metalową głowicą z harcerską lilijką.

Sztandar, w latach nasilającego się stalinizmu, został zabrany i zniszczony. Zachowaną przeze mnie głowicę z orłem przekazałem Izbie Harcerskiej Szczepu ZHP im. R.Traugutta w Łodzi.

W 1946 roku Komenda Chorągwi w Łodzi organizuje obóz szkoleniowy w lasach, we Włodzimierzowie. Szkolenie trwa od 5 do 25 lipca i obejmuje zastępowych pełniących dotychczas te funkcje w drużynach podległych Chorągwi. Z uwagi na liczbę uczestników szkolenia, obóz posiada kilka podobozów z komendą u „Komandosów”, w pobliżu miejsca naszego przyszelego podobozu.

Z Łodzi do Piotrkowa Trybunalskiego przyjeżdżamy już po ostatnim kursie wąskotorowej kolejki do Sulejowa. Nocujemy w podmiejskiej stodole. O godzinie czwartej rano, za zbyt gwarną noc, czeka nas pierwsza lekcja wyczerpującej żabki, „końskiego chodu” /z ręką pod kolanem trzymając się za ucho/ i „pochodu duchów” /skakanie na wprost, na wyprostowanych nogach/. Wreszcie, po zjedzeniu kanapek, powrót do Piotrkowa i ładowanie żywności na samochody. Czule przez nas nazywaną „sulejką kolejowską” dojeżdżamy do Przygłowa. Dalej maszerujemy do Włodzimierzowa, gdzie nad zakolem rzeki Luciaży w lesie, na skarpie ustawiamy namioty. Mamy wartę i dzienną służbę.

Notatki sporządzone z kursu informują o pracach nad zagospodarowaniem naszego podobozu: budowie prycz, siennikach napelnianych słomą, budowie latryny, schodów do rzeki i pomostu do mycia, a także o przygotowaniu kręgu na obozowe ognisko i o innych czynnościach niezbędnych dla życia obozowego. Jest też informacja o dniu wolnym od zajęć bo pada ulewny deszcz, a zaraz po tym, o pierwszym alarmie w pełnym rynsztunku i pływaniu w rzece na sprawność „I pływaka”. Następne dni przynoszą wiele ciekawych zajęć. Uczestniczymy w pokazowym biegu na „młodzika” z przechodzeniem w bród rzeki, udzielaniem pierwszej pomocy rannemu i gotowaniem w menażce obiadu. Jak zapisałem w kronice zastępu, po około dziewięciu godzinach, zajęcia kończymy biegiem na przełaj do obozu.

Uczymy się terenoznawstwa i sporządzania szkiców, sprawnego posługiwania się busołą, a także jak zajmująco prowadzić gawędy i organizować gry zespołowe. Większość zajęć odbywa się w terenie, poza obozem.

Jednej z niedziel odwiedza nas delegacja z 3 ŁDH. Miłe spotkanie. Niestety, o północy znowu alarm, wymarsz w ciemność lasu i gonitwa za „błędym ogniem” – sygnalizowanym latarką.

W końcowych dniach obozu, pod kierunkiem druha Lecha Frejlicha, żołnierza AK, rannego w Powstaniu Warszawskim, uczestniczymy w biegu na ćwika. Bieg zorganizowany jest na około 30 kilometrowej osi marszu do wsi Parzniewice i z powrotem.

Na miejscu, po przygotowaniu noclegu w stodole wskazanej przez sołtysa, jesteśmy zaproszeni na kolację i ognisko do obozującej tam drużyny harcerek.

W południe wracamy szosą do Włodzimierzowa. Z nieba leje się żar. Czujemy pod butami miękkiego asfaltu. Mamy szczęście - przejeżdżająca ciężarówka zabiera nas do Piotrkowa. Do obozu docieramy na piechotę.

Wieczorem kąpiel, uporządkowanie umundurowania i zdajemy egzamin.

Jeszcze mamy pożegnalne ognisko w Komendzie Ośrodka, z którego wraz z pomyslanym życzeniem, na pamiątkę, zabieram osmalony patyk.

Następnego dnia likwidujemy ślady naszego pobytu i powracamy do domu.<sup>3</sup>

W krótkim czasie przekonałem się jak wiele na tym obozie zdobyłem wiadomości, umiejętności i sprawności fizycznej, które później, podczas zajęć i alarmów obozowych, często pozwalały mi być jednym z najlepszych.

W dziesięć dni później, 4 sierpnia 1946 roku, z częścią składu osobowego zastępu, jesteśmy na drugim obozie, zorganizowanym przez 3 ŁDH w Czarnieckiej Górze.

Jak poprzednio, ładujemy sprzęt kuchenny, namioty i posiadaną żywność do wagonów pociągu towarowego, wsiadamy i czekamy na bocznicy na sygnał odjazdu. A kiedy ruszamy – rozpięra nas radość i staramy się zapamiętać melodię stukotu kół pociągu.<sup>4</sup>

Obóz w Czarnieckiej Górze położony był w lesie, w obrębie działki z niewykończonym budynkiem stanowiącym własność naszej Szkoły. Budynek służył nam za magazyn żywności – po raz pierwszy zaopatrzeni byliśmy w produkty pochodzące z amerykańskiego demobilu. Tam też urządziliśmy kuchnię. Mieliśmy własne, piękne aluminiowe kotły, patelnie, chochle i wiadra oraz łopaty i inny sprzęt dla potrzeb obozowych, pochodzenia amerykańskiego. To był luksusowy obóz, z namiotem komendy i namiotami dla każdego z pięciu zastępów. Obóz ze znanym mi rytmem zajęć i obowiązków.

Bynajmniej nie była to żadna nuda i błogość.<sup>5</sup>

Powszedni dzień obozowy przebiegał w sposób zbliżony do obowiązującego w wojsku. Rozpocynał go sygnał pobudki grany na sygnałowiec przez naszego trębacza, budzonego wcześniej przez wartownika. Myliśmy się z pomostów zbudowanych nad pobliską rzeką lub jeziorem. Zbiórka „na linii” zastępami i apel poranny: odśpiewanie modlitwy „Kiedy ranne wstają zorze...”, wciągnięcie flagi na maszt, złożenie meldunków o stanie zastępów, wysłuchanie rozkazu dziennego o zajęciach i pracach obozowych, o służbie zastępu na dzień

---

<sup>3</sup> Jeszcze raz przeżyłem obozowe wzruszenie, kiedy ponad dwadzieścia lat później będąc na otwarciu ośrodka kolonijnego Izby Rzemieślniczej we Włodzimierzowie, bezbłędnie trafiłem na miejsce naszego podobozu i na konarze sosny – co brzmi nieprawdopodobnie – odnalazłem zawieszony metalowy bloczek, który służył nam do wciągania flagi.

<sup>4</sup> Po latach uświadomiłem sobie jak prosto, jak tanio i jak pożytecznie organizowano letni wypoczynek młodzieży w strukturach harcerstwa. W latach siedemdziesiątych, mój krewniak z Gdańska informował mnie, że jedzie na obóz harcerski, który przygotowali „cywile”, gdzie jest normalna w budynku kuchnia i stołówka, łazienki, że mają intendenta z samochodem, kucharkę i pielęgniarkę. Trudno było się nie śmiać.

<sup>5</sup> Komendantem obozu był druha phm Jerzy Niemiec, obożnym druha Tadeusz Lesz. Skład komendy obozu, ponadto stanowili: Zygmunt Albrecht /przyboczny 3 ŁDH/, zastępowi – Aleksy Gorący /zastęp „Łazików”/, Zdzisław Karczewski /zastęp „Sów”/, Jerzy Muszyński /zastęp „Traperów”/, Jerzy Rachowski /zastęp „Mohikanów”/ i Janusz Witkowski /zastęp „Parasol”/.

następny, czasem – o zaliczeniu sprawności, a wyjątkowo stawanie do raportu za przewinienia.

Zajęcia obozowe i poza jego terenem praktycznie wypełniały czas do obiadu. Po obiedzie obowiązywała nie zawsze „cisza” poobiednia, po której bywały zajęcia w drużynie lub w zastępie /czasem ze śpiewem, zbierano do koca śmieci wokół obozu/. W tym też czasie odbywała się odprawa zastępów zdających i przejmujących obowiązki wartownicze i w kuchni. Pozostali mieli czas własny do kolacji, który, jeżeli miało być ognisko przeznaczano na przygotowanie programu i zbieranie gałęzi. Dzień kończył sygnał apelu wieczornego, zbiórka drużyny, opuszczenie flagi z masztu i odśpiewanie „idzie noc”. Posiłki gotowaliśmy w kotłach i rondlach na zbudowanej we własnym zakresie kuchni. Jakość potraw sprawdzał oboźny i nie pamiętam przypadku, aby posiłek nie kwalifikował się do spożycia bądź coś pozostało w kotle. Oczywiście bywały lekkie przypalenia zwłaszcza krupniku, niekiedy zazgrzytał w zębach piasek, a zupa miała zapach dymu, ale powtórny dyżur w kuchni, w przypadku powszechnej krytyki posiłku, był dostateczną groźbą i mobilizował do staranności o jakość potraw.

Najbliższej niedzieli odwiedza nas drużynowy. W szyku marszowym idziemy do kościoła w Stąporkowie. Po powrocie przygotowujemy się do wieczornego ogniska. W czasie popołudniowej ciszy wartownik podrywa nas biciem na alarm w wiszącą łuskę pocisku artyleryjskiego. Gdzieś jest wielki pożar – zza lasu widać chmurę czarnego dymu. Chwytny łopaty i saperki, na przełaj biegniemy w kierunku pożaru. Niekłań – tartak: pełno ściętego i okorowanego drewna, sztaple desek, budynki, kolejka wąskotorowa – morze ognia. Pod płotem odgradzającym las, beczki ze smołą, a w lesie zmagazynowana przez Niemców amunicja, przeważnie artyleryjska i do granatników oraz wiele innego sprzętu wojskowego, w razie wybuchu, grożące tragedią dla ludności, wsi i lasu.

Niezwłocznie przystępujemy do rozbierania sztapli, wyciągania desek, wytaczania beczek i częściowej rozbiórki płotu. Ludność, początkowo nam się przygląda, niektórzy zaczynają nam pomagać, inni po załadowaniu dobytku na wozy, z rodzinami zaczynają opuszczać wieś. Wreszcie ze Stąporkowa przyjechała ochotnicza straż pożarna. Sikawkami polewają ogień i nas, usmolonych, wyskakujących co chwila z żaru. Strażacy niczego nie ratują. My nie rezygnujemy. Niestety, nie można było opanować pożaru, ale dzięki nam, został on częściowo ograniczony i odizolowany od niebezpiecznego lasu.

W Łodzi, komendant obozu otrzymał oficjalne podziękowanie dyrekcji zarządu, któremu podlegał tartak, kilku z nas – nagrody rzeczowe w postaci plecaków i butów. Wszyscy uczestnicy gaszenia pożaru zaliczyli rzadką sprawność „strażaka”.

Na tym obozie nie oszczędzono nam alarmów /później określony został dopuszczalny ich limit/, ale niektóre wynikały ze szczególnych okoliczności. Jedną z nich była wizytacja obozu przez hufcowego. Wiadomo, w nocy alarm w rynsztunku i z podręcznym sprzętem. Marsz w las – ścięcie dwóch wyznaczonych sosen, ich obróbka, przeniesienie nad brzeg rzeki Czarnej i w zimnej wodzie budowa kładki – wszystko na czas.<sup>6</sup> W kilka dni później, bez zgody władz, wykorzystujemy kładkę do budowy zapory powstrzymującej wodę pod znaczny stawek. Co za rozkosz kąpiele. Niestety woda podmyła brzegi i wyrwała zapórę. Parę kilometrów dalej, jak młynarz nam opowiadał, napór wody o mało nie urwał koła młyńskiego.

Jeszcze pożar nadrzecznych torfowisk z beznadziejną walką o ich wygaszenie.

Postrzegamy inne jeszcze wydarzenia. Ktoś samotnej starszej kobiecie podpala dom; ratujemy resztki jej dobytku. W czasie urządzanych dla okolicznej ludności ognisk, w ogniu wybuchają splonki. Do wartowników w nocy podchodzą pojedynczy, tajemniczy mężczyźni, próbują nawiązać z nami rozmowę.

W kilka dni później, z Końskich przyjeżdża willis. Panowie, w namiocie komendy, prowadzą rozmowę. Po ich odjeździe otrzymujemy rozkaz zlikwidowania obozu do następnego dnia w

---

<sup>6</sup> W tym czasie 3 ŁDH należała do Hufca Łódź- Śródmieście. Obóz wizytował hufcowy hm Bogdan Jakubowski i instruktor Hufca – Tadeusz Rajpold.

południe. Rzeczywiście, o tej porze mamy podstawione ciężarowe samochody, którymi wracamy do Łodzi. Skrócili nam pobyt na obozie o sześć dni!

Pewnego dnia, na początku roku szkolnego, przyszedł drużynowy Zdzisław Wojciechowski i poufnie poinformował mnie, że on i ja jesteśmy wezwani na przesłuchanie do Urzędu Bezpieczeństwa Publicznego przy ul. Anstadta. Przesłuchanie polegało na indywidualnej rozmowie: kim jestem, jaką mam rodzinę oraz czy nie wiem kto do nas na obozie w Czarnieckiej Górze przychodził i czego dotyczyły rozmowy. Z moich wyjaśnień nie mogło nic wynikać, poprzestano na tym i po podpisaniu oświadczenia o zachowaniu rozmowy w tajemnicy, mogłem opuścić budynek.

We wrześniu, zastęp nasz jedzie z wycieczką klasową do Gdańska, Nowego Portu, Westerplatte, na Hel i do Gdyni.<sup>7</sup>

Jeszcze tego samego miesiąca, drużyna uczestniczy w odgruzowywaniu Warszawy. Transparenty na wagonach kolejowych „Pomagamy odbudować stolicę”. Warszawa robi na nas porażające wrażenie. Wszędzie ruiny i gruzy - chce się płakać. Idziemy na Plac Trzech Krzyży. Po skromnym obiedzie stajemy do roboty – mamy usunąć gruz z resztek murów zniszczonego kościoła św. Aleksandra. Nocleg w pobliskiej szkole. Drużynowy śpi na biurku. Śmiejemy się – jeden z zastępowych układa się do snu w szufladzie. Rano pobudka, śniadanie, sprzęt na ramię i idziemy odgruzowywać. Pracę kończymy późnym popołudniem. W nocy alarm dla niektórych – bieg na wywiadówkę. Następnego dnia wracamy do Łodzi.

I znowu powtarza się sytuacja jak po obozie w Czarnieckiej Górze. „Co za sympatia do nas”? Dopytywano się, kto z nas, jadących do Warszawy, kredą na wagonach wypisywał hasła. Dlaczego drużynowego i mnie? Czy tylko nas – nie wiem.

Współpraca z drużyną przy szkole powszechnej przy ul. 22 Lipca owocuje utworzeniem szczepla harcerskiego. 3 ŁDH staje się drużyną starszoharcerską i razem z drużynami harcerską i zuchową tej szkoły tworzy szczepl.

Rozkazem z dnia 25 września 1946 roku, z zastępem, otrzymałem przydział do drużyny skautów. /Odtąd mieliśmy prawo nosić nakładkę na lewym naramienniku munduru, koloru zielonego z wizerunkiem ogniska/.

Z myślą o przygotowaniach do kolejnego obozu, drużyna, na zbiórkach poprzedzających Święto Zmarłych, przystąpiła do wykonywania afiszy informujących o sprzedaży zniczy celem zebrania funduszy na obóz letni.

Akcja, podjęta przez 3 ŁDH w dniu Święta Zmarłych, przeszła nasze oczekiwania. /Powtórzona w 1947 roku, była jej nikłym odbiciem, tym bardziej, że powstała konkurencja poprzez udział w tej akcji innych drużyn/. Od wczesnego rana, przed bramą Starego Cmentarza stawiamy namiot i stolik, umieszczamy afisze, odbieramy transport świeczek i gotowi czekamy. Zastęp „Żubrów” ma stały, nieliczny, siedmioosobowy skład, dlatego dyżur przy sprzedaży organizujemy z innym zastępem. Sporadycznie pomagają koledzy z klasy. Był to pracowity, wyczerpujący dzień, trwający do nocy.

Na przełomie grudnia i stycznia 1947 roku, przez 11 dni jesteśmy na pierwszym obozie zimowym. Pociągiem osobowym przyjechaliśmy do Karpacza. Kwaterujemy w szkole położonej w dolnej części miasta. Czas spędzamy na krótkich wędrownkach i zabawie. Na pożyczanych – od mieszkańców okolicznych domów - sankach zjeżdżamy poboczem jezdni, czasem świadomie wybieramy rów, by nie wpaść pod wolniej jadący wóz konny.

Kto miał – zabrał narty. Na pobliskim stoku jedni z wprawą zjeżdżają, inni we własnym zakresie próbują jazdy. /Swoje drewniane, markowe narty uszkodziłem już po kilkudniowych zjazdach/.

---

<sup>7</sup> Kierownikiem wycieczki był wychowawca klasy IIB, prof. Stefan Wyłębski – opiekun drużyny. Uczestniczył też prof. Maksymilian Zieliński.



Pomagamy też przy pracach porządkowych przy budowanej przez Stanisława Marusarza skoczni narciarskiej. /W „Kronice Zastępu” m.in. przechowuję pocztówkę z widokiem Śnieżki z autografem Stanisława Marusarza. /Pniemy się na szczyt Śnieżki, zwiedzamy Bierutowice ze świątynią Wang i Jelenią Górę.

Od początków 3 ŁDH systematycznie uczymy się tekstów coraz to nowych piosenek i śpiewamy je przy okazji zbiórek i wędrówek. Jest tego spory repertuar. Poza tym, stworzenie przez naszego profesora śpiewu chóru w drużynie i liczne z nim próby, pozwoliły nam uczestniczyć w konkursach chórów drużyn w skali Hufca i w Komendzie Chorągwi. Szło nam wcale nieźle. Było to niewątpliwą zasługą profesora, który nie tylko nas prowadził podczas konkursowych występów, ale też akompaniował nam na fortepianie w kinach, kiedy występowaliśmy przed widzami, przed seansem filmowym. Poza brawami publiczności, główną korzyścią było pozostanie i oglądanie filmu, bez opłaty, przeważnie siedząc na podłodze, przed pierwszym rzędem krzeseł.<sup>8</sup>

Zielone Świątki w 1947 roku zastęp spędza w pobliżu „Niebieskich Źródeł”, za Tomaszowem Mazowieckim. Organizujemy podchody, kąpiemy się w Pilicy i długo w nocy siedzimy przy ognisku. Śpimy pod namiotami ze spiętych celt. Rano idziemy do Smardzewic. Krótki odpoczynek i w drogę na dworzec kolejowy, do Tomaszowa.

W dniach 28 i 29 czerwca reprezentacja 3 ŁDH bierze udział w Jubileuszowym Zlocie Chorągwi Łódzkiej 1912-1947. Zbieramy się wieczorem, na łące pomiędzy ulicami bpa Tymienieckiego a Tylną. Palimy ogniska, a przy nich liczne rozśpiewane grupy. Podobno, jest nas około 10 tysięcy. Późną nocą organizujemy sobie prymitywny nocleg. Następnego dnia niedziela, nabożeństwo w katedrze ze wzruszającym przemówieniem kapelana wojskowego, ks. Ławrynowicza i defilada ulicą Piotrkowską. W Komendzie Chorągwi, która wówczas mieściła się w pałacu H. Biedermanna, przy ul. Ks. Skorupki 10/12, zwiedzamy wystawę prac obozowych i pokazowy obóz w przypałacowym parku. Jego wykonanie budzi nasze krytyczne uwagi.

Złot kończy się na wspomnianej łące, przy rozstawionych megafonach, przy ognisku, o charakterze regionalnym.

Nadchodzi dzień 3 lipca 1947 roku – długo oczekiwany dzień wyjazdu na obóz. Nazwa miejscowości – Witnica, gdzieś między Gorzowem Wielkopolskim a Kostrzyniem, nic nam nie mówi. Także miejsca naszego obozu nie możemy odszukać na mapie.

Jak dotychczas, zajmujemy wyznaczone nam wagony towarowe, ładujemy sprzęt, żywność i własny ekwipunek i czekamy na odjazd w nie znane. Witnicę znajdujemy jako ciche, małe miasteczko.

Po przeładowaniu bagażu na wozy konne, podążamy za nimi przez las.

Mijamy ogromny, stary dąb, pod nim żeliwne krzyże i zarysy mogił. Po około 4 km leśnej drogi, dochodzimy do wzniesienia, u którego podnóża znajduje się zrujnowana leśniczówka i duże jezioro. To nasz cel. Na szczycie wzniesienia zakładamy obóz. Będziemy tu do 28 lipca.

Przed wyjazdem na obóz, z żalem komentowaliśmy wiadomość o zrzeczeniu się funkcji i odejściu drużynowego dh Zdzisława Wojciechowskiego.

Obecnie drużynowym i komendantem obozu jest dh Jerzy Niemiec, oboźnym – dh Zygmunt Albrecht.

Mamy sześć namiotów. W starym, typu „austriackiego”, lokuje się zastęp „Żubrów” w powiększonym składzie.<sup>9</sup> /Na czas obozu przyjmujemy nazwę „Piratów”, oficjalnie zatwierdzoną rozkazem z dnia 9 listopada 1947 roku./ Dowództwo obozu ma z demobilu

<sup>8</sup> Mowa o prof. Romanie Cichowiczu, który poza lekcyjnymi godzinami, nasze głosy cierpliwie „szlifował” i najczęściej był z nami, w czasie znaczących dla prestiżu 3 ŁDH imprez połączonych z występami harcerskiego chóru.

namiot oficerski. Pozostałe zastępy dysponują również z demobilu, amerykańskimi „kanadyjkami”, z grubej tkaniny, z kominkiem rozpinanym na topie masztu. Są to namioty duże, ciepłe i wygodne, chociaż pod wpływem słonecznego ciepła wydzielają jakiś „wojskowy” zapach. Nasz jest wąski – śpimy po jednej jego stronie, ma trzy maszty, jest lekki i widny.

Po wykonaniu niezbędnych prac obozowych, po przygotowaniu namiotu pod spizarnię, a w ruinach leśniczówki – kuchni /w trakcie pracy natknęliśmy się na ludzką czaszkę/, przystępujemy do budowy pomostu do mycia. Przy brzegu jeziora, na dnie, dostrzegamy łódź rybacką. To znalezisko wpływa na nasze obozowe zajęcia. Rezygnujemy z budowy prycz, nie okopujemy namiotu. Czas poświęcamy przywróceniu łodzi do użytku. Z desek dodanych do budowy prycz strugamy wiosła i ster, przygotowujemy maszt i żagiel ze spiętych celt. Jeśli chodzi o wiedzę techniczną i żeglarską – polegamy na jednym z nas, który jest po przeszkoleniu morskim w Gdyni. Ostrożnie sprawdzamy przydatność łodzi. Jest trochę ociążała, ster wymaga poprawy, ale właściwie jest bez zarzutu. Początkowo pływamy blisko brzegu, na wiosłach, później z użyciem żagla.

Poza żeglowaniem, łódź dostarczyła nam wielu przeżyć m.in. w czasie zdobywania sprawności „wodnego człowieka”.

Po odmeldowaniu się u komendanta obozu, z wyselekcjonowaną załogą wpływamy do strugi zasilającej wodę jeziora. W krótkim czasie składamy nieprzydatne wiosła i posługując się długim drągiem, łapiąc się trzciny, przeciskamy się w nieznanym kierunku. W oczkach wodnych spotykamy wygrzewające się w słońcu szczupaki, w górze wspaniałe korony drzew, aromat lasu i ta dziewicza przeprawa. Tak mogła wyglądać amazońska puszcza. Jednak nie do końca było tak uroczo. Po kilku godzinach tej przeprawy struga staje się coraz cieńsza, kończą się trzciny i wpływamy do drugiego jeziora. Jezioro nie ma wody. Powierzchnię pokrywa głęboka warstwa rzadkiego mułu, przez którą cienką rynną płynie woda. Bagatelizujemy to zjawisko i nie dostrzegamy niebezpieczeństwa kiedy wiosło zaczepia o przeszkodę – o poroże utopionego jelenia. Jeszcze dalej łódź przestaje reagować mimo energicznych ruchów naszych wiosł. Staramy się opanować ogarniający nas niepokój. Łódź próbujemy lekko, wzdłużnie rozkołysać. Przynosi to efekt. W szczeliny tworzące się przy burtach napływa woda i powoli wiosłując powracamy rufą do brzegu tego zdradliwego jeziora.

Zostawiamy wartę przy łodzi i zaroślami wzdłuż brzegu dochodzimy do przeciwnej strony jeziora. Znajdujemy zniszczoną zaporę i opuszczony budynek, prawdopodobnie leśniczówkę. Wewnątrz są jeszcze skromne meble, a nawet kubki. Powracamy do łodzi. Po zjedzeniu resztek zabranego pożywienia i ogrzaniu się przy ognisku, noc spędziliśmy na łodzi. Rano nie byliśmy już tak podatni na piękno przyrody, ale wrażenie z wyprawy i „żeglarska duma” nakazały nam, przed zawinięciem do „portu”, okrążyć nasze wielkie jezioro i wiosłami wykonać salut.

Powitano nas radośnie, chociaż u dowództwa dostrzegliśmy troskę o naszą kondycję i samopoczucie.

Tak – o takim obozie można marzyć, niezależnie od służby w kuchni, wożenia wózkiem żywności z miasta, kąpiąc z wysiłku od potu, czy stanie na warcie, w nocy z karabinem i ćwiczebną amunicją – ostrą miał komendant. /Broń przydzielił nam posterunek milicji w Witnicy dla obrony własnej, rzekomo przed pozostałościami Werwolfu. Wcześniej, w 1945 roku, w Różyca, warta nocna też dysponowała karabinem bez amunicji, właściwie nie było wiadomo dlaczego./

Niezapomnianym, kolejnym przeżyciem dla większości z zastępu, było zdobywanie jednocześnie dwóch trudnych sprawności: „łazika wiejskiego” i „wędrawca”.<sup>10</sup> Znając uciążliwość warunków jakie mieliśmy do spełnienia, poza kocem, celtą i chlebakiem,

<sup>9</sup> W powołanym na okres obozu zastępie „Piratów”, z macierzystego zastępu „Żubrów” biorą udział: Jerzy Idczak, Kazimierz Sikorski, Karol Styczyński, Wiesław Szczepanowski i Jerzy Rachowski – zastępowy, oraz włączeni do zastępu spoza Szkoły – podobnie jak na obozie w Czarnieckiej Górze – Henryk Malec i Szlęzak.

zabraliśmy apteczkę zastępu, okazałą blaszaną skrzynkę z godłem Czerwonego Krzyża, poza pakietami opatrunkowymi konspiracyjnie napełnioną cukrem – jako żelazny zapas racji żywnościowej.

Wymaszerowaliśmy wcześniej rano w kierunku Kostrzyna. Jeszcze przed południem skończył się las, zaczęły się pola i wsie. Naszym zadaniem było odszukanie sołtysa i potwierdzenie jego podpisem i pieczęcią naszej obecności we wsi. Następnie odwiedziliśmy kilka gospodarstw, gdzie prowadziliśmy rozmowy i prosiliśmy, zwłaszcza starsze osoby, o opowiedzenie nam o ich tradycjach, sposobie obchodzenia świąt, o zaśpiewanie piosenek i o inne informacje związane z folklorem ludowym. Wszystko to zapisywaliśmy w księdze sprawności.

Spotykani ludzie przeważnie byli repatriantami z Kresów, byli bardzo serdeczni, zatrzymywali nas, częstowali mlekiem i chlebem. Przynaglał nas jednak czas i droga. Po zebraniu materiałów w napotkanych wsiach, idąc już szosą, weszliśmy w zupełnie zburzone miasto. Zostaliśmy zatrzymani przez patrol WOP-u, który wyszedł z ruin narożnego budynku stojącego przy moście na Warcie przy ujściu do Odry. Po okazaniu rozkazu wymarszu i wyjaśnieniu naszego celu, żołnierze nie tylko wskazali nam kierunek dalszego marszu, ale pozwolili wejść na odcinek mostu, stanowiącego granicę Państwa i wykapać się w rzece. Duże było nasze zdziwienie, gdy dowiedzieliśmy się, że jedynymi stałymi mieszkańcami miasta są żołnierze i kolejarze mieszkający w baraku, w pobliżu stacji kolejowej. Nieco dalej kolejne zaskoczenie: dlaczego miasto znajduje się w kompletnej ruinie, podczas gdy po drugiej stronie Odry prawie nie widać zniszczeń.

Dalsza nasza wędrówka zakończyła się pod wieczór. Po minięciu miejscowości Dąbie i wejściu do lasu okazało się, że jest to na dużym obszarze osmalony pożarem młodniak. Wyczerpani drogą postanowiliśmy rozpaść tu ognisko i wokół niego przenocować. Zbudził nas gwałtowny trzask łamanych gałęzi i tętent zwierząt. Jak uznaliśmy, było to duże stado dzików spłoszonych prawdopodobnie przez polujących. Oczywiście hałas obudził również naszego wartownika, który spał przy wygasłym ognisku.

Nasza orientacja w terenie okazała się zupełnie poprawna. Jeszcze przed śniadaniem meldowaliśmy się w obozie.

Do dnia dzisiejszego, w czasie już rzadkich, okazjonalnych spotkań w nielicznym gronie, kiedy rozmowa schodzi na tematy harcerskie, z żalem wspominamy szczególnie ten obóz. Nigdy nie spodziewaliśmy się, że będzie on naszym ostatnim obozowym przeżyciem.

Jesienią, zastęp nasz uczestniczył, w zorganizowanym przez Ligę Morską, kursie żeglugi śródlądowej. Niestety, rzadziej odbywane zbiórki drużyny i zastępu, konieczność mobilizacji sił przed egzaminami na zakończenie nauki w gimnazjum /mała matura/, wreszcie nie wszystkich interesująca problematyka żeglarska – złożyły się na rozluźnienie naszych dotychczasowych więzów organizacyjnych.

Jeszcze się bronimy przed stagnacją – spotykamy się w Izbie Harcerskiej, ale nie możemy zebrać się w pełnym składzie, a zima 1947/1948 roku nie przyniosła zmiany.

Kilku z nas, w wolnych chwilach, buduje modele okrętów. Organizujemy w siedzibie Okręgu Ligi Morskiej, pierwszą powojenną wystawę morską w Łodzi.

Na wiosnę, w maju 1948 roku, grupa z zastępu przebywa z zuchami na kilkudniowym biwaku w Spale.

Jeszcze raz, na kilka wolnych dni, przyjeżdżamy do Spały z grupką harcerek z Żeńskiego Gimnazjum im. E. Szczanieckiej. Korzystamy z propozycji Staszka Mikulskiego, który zapewnił nam noclegi pod dachem. Ja, niestety, skracam swój pobyt i drugiego dnia, skoro świt maszeruję na dworzec kolejowy do Tomaszowa Maz. Po powrocie do Łodzi muszę stawić się przed komisją wojskową.

<sup>10</sup> Do biegu na te sprawności dopuszczono tylko harcerzy z rodzimego zastępu „Żubrów”, starszych wiekiem, za wyjątkiem jednego, który w obozie dostał dodatkową służbę. Była to kara za robienie zacierek na śniadanie dla drużyny brudnymi rękami i jego reakcję, na rozkaz ich umycia, wrzuceniem siekiery do kotła.

Latem, w grupie najstarszych stażem harcerzy, organizujemy kilkudniowe wypad do Poznania i na tereny targowe Wystawy Ziem Odzyskanych do Wrocławia.

Dowiadujemy się, że zamiast obozu letniego organizowana jest „Harcerska Służba Polsce”, że podobno będziemy pomagać przy żniwach. Przebąkuje się, że mają nastąpić w harcerstwie zmiany, inni mówią o zjednoczeniu organizacji młodzieżowych.

Nam się wydaje, że obserwujemy koniec czegoś, co było nam bliskie i że to, co może nastąpić przekreśli ideę harcerstwa okresu powojennego.

I tak, ku zaskoczeniu większości z nas, okoliczności zmusiły nas do szukania innych sfer zainteresowań.

Mam świadomość, że moje kategorięczne osądy sytuacji z końca 1948 roku, dla wielu kolegów, funkcyjnych harcerzy, mogą być nie do przyjęcia, że jest to krzywdzące, bowiem jako kadra, niektórzy z nich znajdowali sens swojej działalności. Nie mogą jednak zaprzeczyć, że nie była ona kontynuacją tych wartości, jakie wynieśli z harcerstwa lat 1945 – 1948.

Łódź, w lutym 2004r.

/Jerzy Rachowski/